№ 52. Warszawa, dnia 17 (29) Grudnia 1888 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

DWIE ZNAKOMITE CUDZOZIEMKI.

I.

W dniu 17 Listopada r. b. świat naukowy poniósł niepowetowaną stratę. We Florencyi zmarła znana w szerokich kołach literatka ks. Aleksandrowa Kolcow-Massalska, sześćdziesięcioletnia staruszka, do ostatniej chwili władająca dzielnie piórem.

Na uczczenie urodzenia (3 Lutego 1828 roku) przyszłej myślicielki, grzmiały działowe salwy z cytadeli w Bukareszcie, pochylano sztandary, rozdawano ludowi podarki, gdyż ks. Helena była wnuczką Hospodara Aleksandra Ghiki i zapewne nikt nie przypuszczał wtedy, że podminowany tron wołoszczyzny stanie się kołyską dziecka, którego potem imię ze czcią będą powtarzać słowiańskie narody.

Już w dwunastym roku życia, los zrowrogi, pod postacią przewrotów i zaburzeń politycznych, zmusza młodą księżniczkę, do opuszczenia rodzinnej ziemi. Wyrwana siłą niemal z pałacu, znajduje się nagle w nędznym, drezdeńskim hoteliku, gdzie ojciec jej musiał ukrywać się przed ludźmi, widzącymi i w nim sprawcę nieszczęść, które ten mały kraik podówczas nawiedziły.

Szczęściem jednak, że Michał Ghika miał mimo tradycyi rodu, przynajmniej we względzie wychowania dzieci, szersze trochę poglądy i nie chciał ze swą niepewną dolą tułacza zespalać przyszłości ślicznego dziewczątka, już wtedy inteligencyą i urodą budzącego podziw ogólny. Umieścił je tedy w jednym z tych zakładów naukowych, któremi słynie saska stolica i już w 1846 roku spotykamy pannę Ghika, olśniewającą rozumem i wdziękami sztywne, napuszone towarzystwo w berlińskich salonach, objawiającą wcale nie hospodarskie poglądy na rozwój ludzkości.

Mimo to, wcześnie, w ognistej córze południa prawie, przemawia... serce które, świeżo przybyły z Petersburga ks. Kolcow-Massalskij, umiał uwięzią odrazu.

Już w roku 1849, zostaje ks. Helena jego żoną i osiedla się z nim w stolicy Cesarstwa, nad Newą.

Czy pożycie z wytwornym dworakiem, ale nie pojmującym życia po za balami, sportem, grą i miłostkami, przypadło do smaku jego żonie, milczą o tem dzieje; dość że po sześciu latach pożycia, zrzeka się ks. Helena na rzecz męża ze swego posagu miliona rubli, za pozwolenie powrotu za granicę i zrzeczenie się praw do niej.

Skutkiem tego osiedla się najpierw w Genewie a potem pod Florencyą, otacza uczonymi, bogatymi księgozbiorami i zaczyna poświęcać się najzawilszym kwestyom społecznym nowożytnej Grecyi i południowej Słowiańszczyzny.

Już w tymże 1855 roku, praca jej porusza świat myślicieli; pseudonym księżnej: „Dora d'Istria" niewiele mówi, podejrzywają że pod nim ukrywa się jakiś znakomity pisarz francuzki, a nikt nie przypuszcza nawet, aby mistrzowsko skreślone dzieje, mogły wyjść z pod pióra kobiety, a do tego córki wołoskich hospodarów.

Wkrótce potem, druga, bardziej wyczerpująca przedmiot praca p. t. *Klasztory obojga płci na Wołoszczyźnie, w Grecyi, Macedonii i Tesalii,* dopełnia niedostatki pierwszej, a w 1860 roku czterotomowe studyum *Niemiecka Szwajcarya* i *Wycieczki do Rumelii i Morei,* stawiają ks. Massalską w szeregu pierwszorzędnych powag na polu ekonomii społecznej i politycznej.

Spółczesne owym pracom czasopisma, przeglądy, ilustracye i t. p., pełne są pochlebnych ocen tych płodów niezwykłego talentu, nawet rządy miejscowe, uciskające południowych Słowian i rządy krajów ościennych, zaczynają liczyć się z autorem, który pod pseudonymem Dory d'Istria, ma odwagę walczyć z przesądami, z uciskiem i z ciemnotą.

Uczeni różnych krajów, udają się na miejsce dla sprawdzenia, korespondenci pism wpływowych oklaskują dzielnego szermierza wolności i nareszcie świat wykształcony dowiaduje się ze zdumieniem, że pełne ognia wyrazy płyną nie z pod pióra mężczyzny, lecz że je kreśli miękka dłoń uroczo pięknej, młodej księżniczki Kolcow-Massalskiej.

Wtedy i mąż się zgłasza, rad przywdziać na barki choć koniec królewskiego płaszcza zasługi

księżnej, lecz ona, ze zwykłą swą prostotą, odpowiada na obszerne memorandum małżonka, temi tylko słowy: *je vous ai abandonné la moitié de ma fortune, si cela ne vous suffit pas, venez me prendre le reste mais... n'éspèrez rien de plus*!

Książę Kolcow-Massalskij, który zawadziwszy po drodze o Homburg i Baden Baden, wygrał tam około dwustu tysięcy talarów, uznał za rzecz właściwą, poprzestać na tem oświadczeniu żony i wrócił jak niepyszny do domu.

Ale koroną spółczesnych i politycznych prac Dory d'Istria były dwie ostatnie: „Jeszcze o kobietach na Wschodzie, w Albanii i Rumunii" i „O poezyi u Turków", które niejednemu z naszych autorów do pięknych prac były podstawą. Gdyby nie one, może ludy słowiańskie półwyspu i księstw po obu stronach Dunaju, do dziś jęczałyby w tureckiem jarzmie. Dzieła te bowiem poruszyły Europę, zainteresowały ogół, były że tak powiemy pierwszą iskrą, która wpadła w popioły i wykrzesała z nich nowe, ożywcze płomienie.

W życiu prywatnem ks. Massalska była wzorem kobiet. Szanowana przez przyjaciół, czczona przez nędzarzy, poszła do grobu zostawiając po sobie żal głęboki i chlubną kartę w dziejach umysłowego rozwoju ludzkości.

II.

Zmarła niedawno w Paryżu księżna de Galliera, choć w bibliografii powszechnej niewpisano jej nazwy, długo jednak żyć będzie w pamięci nieszczęśliwych wszystkich narodowości, burzami życia wyrwanych z domowego ogniska.

Niemniej jak Dora d'Istrya, znakomita powodzeniem, posiadała także jak ona szlachetne serce i bardzo wielki majątek.

Urodzona w Genui, córka markiza de Brignon-Sâles, po ojcu zaliczała do swego rodu, Franciszka Salezego, którego kościół zaliczył do świętych pańskich, z matki była w prostej linii spadkobierczynią Dożów Genueńskich, niezaślubiających się morzu, jak ówcześni władcy Adryatyku, ale rywalizujących z tymi ostatnimi przez wieki całe. Wydana za hrabiego Ferrari, księcia de Galliera, osiedliła się na stałe w Paryżu, jeszcze w czasach pierwszych wojennych tryumfów Napoleona III-go i do chwili zgonu, mimo swych przekonań ultra-legitymistycznych, nie opuszczała tej wielkiej stolicy cywilizacyi świata.

Po śmierci p. de Ferrari który, znakomity ekonomista, potroił i tak olbrzymie swe mienie, ks. de Galliera została panią przeszło dwustu pięćdziesięciu milionów franków, to jest z górą dziesięciu milionów rocznej renty, nie licząc licznych włości i królewskich pałaców we Włoszech i we Francyi. Dotknięta najdrażliwszym ciosem, jaki dotknąć może serce matki, bo niemocą umysłową jedynego syna, który niedawno dopiero został jako tako z niej wyleczony, szlachetna kobieta poświęciła całe życie niesieniu ulgi nieszczęśliwym, a nigdy ręka jej lewa nie wiedziała nic o datkach prawą udzielanych.

Był czas w którym miałem zaszczyt znać ją osobiście i z miłego obcowania z sympatyczną arystokratką, wyniosłem jedno, niezatarte do dziś wspomnienie. We wspieraniu nieszczęśliwych posługiwała się pomocą zacnego kapłana, którego nazwiska wymienić tu niemam upoważnienia. Mówiąc o tem rzekła raz, zwracając się do mnie:

— Tym sposobem, pewna będę, że zasiłki dostaną się do rąk ludzi zasługujących na pomoc.

— Ośmielę się zrobić jedną uwagę księżnej — odparłem spokojnie.

— Owszem, proszę.

— Niedawno, wspominała księżna o Mickiewiczu, otóż poeta ten, nędzarzy pukających do jego drzwi nie pytał nigdy ani o moralność, ani o religię lub przekonania polityczne; wystarczała mu na razie ich niedola i przeświadczenie że cierpieli, że byli głodni.

Wtedy gdym to mówił, byłem bardzo młody a wypowiadałem zdania z szorstkością domorosłego żołnierza. Było o co obrazić się; księżna de Galliere jednak uśmiechnęła się i rzekła z miłym uśmiechem:

— Masz pan słuszność. W określeniu „nieszczęśliwy" jest wszystko. Trzeba więc najprzód głód usunąć a potem prostować wypaczone pojęcia, krzepić serca, zwracać na właściwą drogę wykolejone dusze...

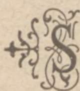
Zmarła ks. de Galliera, rozporządziła już za życia połową swej olbrzymiej fortuny.

Jej fundacye ciepłą ręką uczynione, dochodzą kolosalnej kwoty pięćdziesięciu milionów, a jak zapewniają znający ją bliżej, po wprowadzeniu w życie legatów, testamentem ludzkości przekazanych, synowi jej, Fillipowi Ferrari, zaledwie kilka milionów pozostanie.

Ze względu na dobrodziejstwa świadczone chojną dłonią, wpisujemy tu jej nazwisko, pewni, że pamięć znakomitej filantropki przetrwa długo w sercach i pamięci tych, którzy jej zawdzięczają, że nie upadli w zamęcie i tych co złoto jej podniosło z upadku.

Z. G.

GWIAZDKA



Światła dokoła i stół nakryty —
Zasiada wesołe grono;
Już pierwsza gwiazdka — już na błękity
Weszła.
Śród śpiącej przyrody
Może nam wiarą rozbudzi łono,
Wzrok olśni blaskiem pogody.

* * *

Już stół nakryty — światła dokoła —
Zasiada grono ochocze;
W górę kielichy, dłoń w dłoń i czoła
W górę — śród ziemskich niedoli,
Ufnym w jutrzejsze nieba przezrocze,
Bóg lżej noc przeżyć pozwoli.

* * *

Z opłatkiem w ręce — dzieląc go szczerze —
Krzywd zapomnijmy — urazy
Puśćmy w niepamięć — a gdy szalbierze,
Głaz oszczerstw o pierś rozkruszą —
Stańmy pokorni, z sercem bez skazy,
A złości prysnąć wraz muszą.

* * *

Bądź pozdrowiona odrodzeń gwiazdo,
Co niesiesz miłość — hart stali!
Ucz jak ukochać rodzinne gniazdo,
Zwalczać ból, kroczyć przez ciernie...

. . . .

Myśmy cię — dzieci jeszcze — witali,
Starce — dotrwamy ci wiernie.

* * *

Jakeś przez puszczę Magów powiodła —
Ciemnym świetlane wskaż drogi,
I obłąkanym rozsądku godła,
Daj jutro pracy i ciszy,
A oświeć nasze domowe progi,
Niech nikt tam skargi nie słyszy.

* * *

Czyjeż dziś żywiej nie tętni łono,
Dłoń bratniej dłoni nie ściśnie?

. . . .

Światła dokoła — na raźne grono,
Czeka stół dawno nakryty;
Oby i za rok, gwiazda co błyśnie,
Jasne nam dała błękity.

Zygmunt Grabowski.

OCIEMNIAŁA.

OBRAZEK ZE WSPOMNIEŃ LEKARZA

SKREŚLIŁ

Anatol Krzyżanowski.

(Dokończenie.)



Lokaj Łąckiego zbudził mnie gwałtownie pewnej nocy. Na razie sądziłem, że pani Jadwidze stało się jakie nieszczęście; po chwili dopiero objaśnił, że to Zdziś mały, zdradzający już od dni kilku oznaki zaziębienia, rozchorował się nagle.

Zastałem w rzeczy samej małego w silnej gorączce, a używszy wszelkich środków zapobiegających i zakazawszy wspominać o tem matce, przyrzekłem powrócić do niego jak najwcześniej.

Nazajutrz krótka dyagnoza wystarczyła mi do skonstatowania choroby. Była to silna i groźna szkarlatyna, połączona ze strasznym wrogiem dzieci, dyfterytyzmem.

O uratowaniu chłopca nie śmiałem marzyć nawet.

— Co zrobić, czy powiedzieć żonie? — pytał Łącki, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie grożącem jedynakowi.

— Ani słowa! Chyba w miejsce jednej chciałbyś mieć dwie ofiary.

Ukryć tajemnicę niełatwo jednak było; ciągła moja obecność niepokoiła chorą, brak Zdzisia w zwykłej godzinie uderzył ją zaraz.

— Gdzie mały, czemu go tu nie ma? — zapytała głosem niepewnym.

Łącki szybkim ruchem nakazał milczenie córeczce.

— Był niegrzeczny i nie pozwoliłem mu przyjść do ciebie za karę.

— Chyba i mnie chciałeś ukarać, a ja byłam przecież grzeczną, Władziu. O proszę cię, nie pozbawiaj mnie tej pociechy i zawołaj go zaraz; już ja mu sama powiem naukę.

Trzeba było w kłamstwie nawet bardziej zbliżyć się do prawdy.

— Powiem już pani — przerwałem — że Zdziś jest chory trochę; zaziębił się widać, kazałem mu więc leżeć dzisiaj.

Gwałtownym ruchem usiadła na łóżku.

— Co mu jest? Wy coś przedemną ukrywacie, może on bardzo chory?

— A to żywe srebro! — żartowałem. — Uspokój się pani, przecież wczoraj był tutaj, troszkę chrypki i kaszlu jak zwykle u dzieci.

— Pan mi dajesz słowo honoru — zawołała, chwytając moją rękę — że to chrypka i kaszel tylko?

— Doktorze, słowo honoru? — nalegała.

Zawahałem się przed wstrętnym mi wybiegiem.

— Słowo daję, że zaziębienie — powtórzyłem wreszcie.

— Tak, ale jakie? Z zaziębienia ludzie umierają. Władziu, ja go muszę zobaczyć!

Posłyszawszy słowa, których się obawiałem od początku, dłoń mą oparłem z siłą na ramieniu chorej.

— A ja pani zakazuję myśléć o czemś podobnem — zawołałem stanowczo. — Chcesz pani dla fantazyi i przywidzenia na całe życie pozostać ociemniałą kaleką? Zniszczyć tyle starań i zabiegów, zniweczyć wzrok cudem nieledwie odzyskany? Takie szaleństwo w kobiecej tylko może powstać głowie.

— To mi pan przysięgnij, że mu nie grozi niebezpieczeństwo.

— Przysiąg na zawołanie składać nie zwykłem. Zaręczam pani jednak na honor uczciwego człowieka, że gdyby nawet syn twój był bardzo chorym, troskliwszej opieki i starań znaleźć by nie mógł, na teraz zaś żadna nie może zachodzić obawa. Masz pani obowiązki, masz męża, dzieci, niewolno ci więc lekkomyślnie narażać się na ślepotę, a uprzedzam, iż jedno zdjęcie bandaży w wieczną cię wtrąci ciemnicę.

Pokonana, położyła się cichutko na poduszki.

— Władziu — szepnęła tylko po chwili — idź do niego.

Korzystając z oddalenia się Łąckiego, spróbowałem w inną jeszcze uderzyć strunę.

— Pani Jadwigo — wyrzekłem łagodniej — przebacz mi ostre skarcenie i bądź rozsądną, choćby przez wzgląd na męża. Choroba twa dosyć go zgnębiła; człowiek ten z niepokoju o panią postarzał o lat kilka, a dziś gdy niebezpieczeństwo zażegnane przywraca mu ciebie nareszcie, pani nie mogąc doczekać chwili zobaczenia ich wszystkich, chcesz oślepić się dobrowolnie.

Na progu stanął równocześnie Władysław, kiwając na mnie szybko.

— No, proszę mi dać rączkę na zgodę i leżéć spokojnie — zakończyłem — a ja pójdę wypalić cygaro do którego tęskno mnie już bardzo.

Nie było jednak czasu myśléć o cygarze; gorączka przybierała u chłopca zatrważające wymiary, duszenie pomimo środków zapobiegawczych coraz silniejszem się stawało. Nie chcąc brać odpowiedzialności na siebie, posłałem po jednego z kolegów, który widząc, że dzieci Władysława za swoje prawie uważam, nie mógł mi odmówić przybycia

Gdy powróciłem do pani Jadwigi zastałem ją zgorączkowaną całą.

— Doktorze, to szkarlatyna, wiem, służąca mi powiedziała — powitał mnie od progu głos jej drżący, wzburzony. — Doktorze, czemu milczysz, dlaczego ukrywacie przedemną? Boże! moje dziecko może umiera, a ja przykuta do łoża mam go nie widzieć, nie nieść mu pomocy. A czy pan wiesz, że umiejętna opieka cudów dokonać zdoła?

— Ależ zastanów się pani. Szkarlatynę przejść musi każde dziecko, wzroku zaś nic ci nie przywróci. O szkarlatynie zapomni, matkę ociemniałą będzie miał całe życie.

— Lepiej ociemniałą niż występną — przerwała mi gwałtownie. — Kobieta, która się pieści samolubnie, gdy dziecko jej leży w gorączce, niewarta by jej Bóg dziecko to zachował.

Mocą krwi zimnej i lekarskiej powagi z trudnością ją uspokoić zdołałem. Gdy jednak po przybyciu mego kolegi, pochyleni nad łóżeczkiem, badaliśmy stan Zdzisia, bolesny okrzyk kazał mi się zwrócić ku drzwiom gwałtownie.

Na progu stała pani Jadwiga. Blada jak trup, chwiejna, przysłaniając ręką nieszczęśliwe oczy, które nawet przyćmionego tu światła znieść nie mogły, patrzyła na nas z takiem przerażeniem, jak gdybyśmy zbliżeni do kołyski cios śmiertelny nieśli jej dziecku. Zerwane bandaże zwieszały się na jej szyi, z pod narzuconego szlafroka bose błyskały nogi, usta zbielałe, z trudnością starały się głosu wydobyć.

— Pani tu! — zawołałem, poskoczywszy ku niej.

Odsunęła mnie ruchem nakazującym.

— Konsylium — wybiegło wreszcie na jej wargi. — A więc przeczucie mnie nie omyliło, on umiera...

I jakby w słowach tych źródło sił znalazła, krokiem pewnym już zbliżyła się do łóżeczka; drżące jej ramiona zawisły na jego krawędzi, postać pochyliła się nad zgorączkowanym chłopięciem.

— Dziecko moje — wyszeptała — już jestem, jestem. Bóg przynajmniej przed śmiercią pozwolił mi zobaczyć cię; synu mój, czy widzisz twą matkę? Patrz, jestem przy tobie i na zawsze tu pozostanę, wymodlę cię, uratuję staraniami, tchnieniem własnem okupię, ocalę utratą oczu, a ty później źrenicą mą będziesz...

I pochylona, upojona widokiem dziecka, którego ślepota oglądać jej nie dała, ręczyny jego do ust tuliła.

Poczem wyprostowawszy się, dodała ze spartańską mocą:

— Panowie, rozkazujcie co mam robić, by mu ulgę przynieść?

. . . .

Chłopię uratowane zostało.

Zająwszy miejsce u jego wezgłowia, matka pomimo wszelkich perswazyi ani na jedną nie opuściła go chwilę. Nadludzkie prawie wysiłki jej i starania w pielęgnowaniu dziecka, więcej pomogły do zwalczenia choroby nad wszelkie nasze lekarstwa.

Gdy Zdziś powstał, zwalczona wycieńczeniem i wzruszeniami legła w niemocy. Ocalając syna, sama pozostała na zawsze ociemniałą.

KONIEC.

Czy lepiej być piękną, czy brzydką?

Zapytanie takie zadał publiczności „Figaro" w swym kwestyonaryuszu. We wszystkich prawie odpowiedziach, korespondentki (gdyż tych jest, jak zwykle najwięcej), opiewają dodatnie strony brzydoty, ubolewając nad zasadzkami i niechęcią, jaką otaczana bywa zazwyczaj uroda.

Stary Balzac wyraził jeszcze zdanie, że tylko kobiety brzydkie są prawdziwie kochane:

Kobieta szkaradna, pisze on w swojej „Pogoni za absolutem", którą mężczyzna kochany chce właśnie mieć taką; kobieta stara, co uchodzi w oczach męża za młodą, nie sąż najszczęśliwszemi istotami pod słońcem? Czy może być większa chwała dla kobiety; gdy uwielbiają to, co jest w niej ułomnością lub wadą?

To też najsilniejsze namiętności, o których mówi nam historya, wzniecone były przez kobiety, których urodzie można było zarzucić wiele. Panna de la Vallière była kulawa; Dyanna z Poitiers miała jedną łopatkę wyższą od drugiej i lat 48, gdy zajęła miejsce pani d'Etampes. Pani d'Houdet, ideał Jana Rousseau i panna de Lespinasse, przyjaciółka d'Alemberta, były ospowate.

Za przykładem autora „Komedyi ludzkiej" całe zastępy kobiet rzucają rękawicę piękności. Wyjmujemy kilka zdań zręczniejszych:

Piękność i brzydota znikają pod zmarszczkami starości; pierwsza ginie w nich, druga ukrywa się pod niemi. Przychodzi wiek, w którym te, co miały piękność tracą ją, a te co jej nie miały... zyskują prawo twierdzenia, iż było przeciwnie.

Posłuchajmy co o tem mówi Oktawiusz Feuillet:

Piękna kobieta to dobre na rok, wreszcie na dwa lata; lecz w trzecim już roku patrzysz obojętnie na ten wykończony profil, na wysmukłą kibić, na rączkę alabastrową, na malutką nóżkę, które zachwycały cię, o których marzyłeś do syta podczas miodowych miesięcy. Piękna kobieta staje się przedmiotem zbytku, niebezpiecznym szyldem, obróconym malowaną stroną w stronę od ulicy.

Czytajmy dalej:

Piękność — pisze „une jolie laide" — to sala opery z pysznemi dekoracyami, z oślepiającem oświetleniem, z cudnemi brylantami, podczas przedstawienia sztuki źle wykonanej przez artystów. Brzydota, to dzieło mistrza, grane w skromnej salce przez wirtuozów... Piękna kobieta jest królową, która wie z góry kiedy zostanie zepchniętą z tronu. Piękne są kochane oczami; brzydkie sercem...

Zatem uroda jest czemś bezużytecznem, ba! nawet szkodliwem. Nie dość na tem: jest ona nawet czemś niemoralnem. Cnota kobiety pięknej jest zawsze podpatrywaną, to jakby obrany karczoch, z którego pozostają tylko włókna.

Niezawodnie wszystkie te aforyzmy pisały kobiety brzydkie... na pocieszenie. Posuwają się one jeszcze dalej. Nie ma kobiet nieładnych — twierdzi pani X. — są tylko kobiety nieznane. Piękność nie jest jednolitą: objawia się ona pod tysiącznemi formami; to co ludzie nazywają brzydotą, jest tylko pięknością ukrytą dla oczu zwykłych ludzi.

Więc... szpetne cieszcie się,
Bo ładnych nie ma nie.

Nie brak też złośliwych uwag: Piękna kobieta zawsze jest niebezpieczną lub w niebezpieczeństwie. Uroda jej, to skarb wystawiony na wszystkie spojrzenia, na wszystkie pożądliwości; nie chciałaby go jednak ukryć... za wszystkie inne skarby świata.

Lecz nie wszyscy korespondenci i korespondentki tak pesymistycznie zapatrują się na wdzięki natury. Spotykamy się ze zdaniami wręcz przeciwnemi.

Miłość jest piorunem, brzydota piorunochronem. Piękność, to dar, z którego korzystają inni: brzydota, złe, które się doświadcza samej... Być brzydką, starzéć się, to znaczy wyrywać sobie z rozpaczy włosy... siwe... Ta tylko, co wiele cierpiała, może żałować, iż jest piękną lub być zadowoloną, że jest brzydką... Te wszystkie za i przeciw zakończymy słowami najszczerszej z korespondentek:

Między brzydotą a pięknością wybór trudny. To jakby oset i róża. Obie mają kolce. Zresztą przy końcu piękności, również jak i brzydoty leży starość. Swoją drogą, co do mnie, wolałabym być piękną. A wy, moje panie?

A my?

Kochanemi, ale przedewszystkiem... szanowanemi.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dokończenie.)

Miałem ztąd właśnie udać się do pani — rzekł. — Nasz przyjaciel pan de Thauziat oddał mi przed pojedynkiem list, który miałem mu zwrócić w razie, gdyby los okazał się dlań przyjaznym, lub na wypadek jego śmierci oddać go pani... Niestety! z boleścią przychodzi mi spełnić to drugie polecenie.

Mówiąc to podawał jej list. Młoda dziewczyna przyjęła go w milczeniu i przesunąwszy się jak cień między niemi, przeszła do salonu, gdzie nie potrzebując już panować nad swem cierpieniem osunęła się prawie nieprzytomna na kanapę. Gdy odzyskała zmysły, zamglony jej wzrok padł na list, który trzymała w zaciśniętej dłoni.

Rozdarła kopertę, rozwinęła fatalny papier i nie mogła powstrzymać łez na widok liter kreślonych pewną, śmiałą ręką, która już dziś zmartwiała na wieki. Wreszcie otarła łzy i pragnąc co rychlej dowiedzieć się co ukochany chciał jej powierzyć w godzinę śmierci, zaczęła czytać uważnie:

„Kochana Emilio!

Noc upłynęła dla mnie na materyalnych i moralnych przygotowaniach, do oczekującego mnie spotkania, którego następstwa muszą być poważne. Uporządkowałem moje interesa i zrobiłem obrachunek z sumieniem. Pierwsze zadanie łatwiejsze było do spełnienia i prędzej uregulowałem sprawy majątkowe niż duchowe. Walka jaką toczyłem z sobą była długą i przykrą. Sędzia był surowy ale obwiniony bronił się energicznie, i z trudnością wysłuchał potępiającego go wyroku. Źle postąpiłem i miałaś słuszność, skoro mi to mówiłaś; ale zaślepiła mnie namiętność, która zazwyczaj złą bywa doradczynią.

Trzy razy w życiu uległem szatańskim podszeptom, dążącym do obałamucenia mego umysłu. Usiłowałem je odepchnąć, wiłem się w ciemnościach i dążyłem do światła, które jest prawdą i sprawiedliwością, lecz siła potężniejsza od mej woli, jakiś zwierzęcy instynkt, zatrzymywał mnie w ciemnościach. W życiu popełniłem trzy uczynki nieszlachetne i rumieniec wstydu okrywa moje czoło. Pierwszym było to, że podałem dłoń moją człowiekowi, którego nienawidziłem: drugim, że bywałem w jego domu chcąc mu ukraść honor: trzecim, że nadużyłem podle mojej siły przeciwko kobiecie. Każdy występek popełniałem z zupełną samowiedzą i usiłowałem mu się opierać, lecz pociąg do złego był silniejszym niż krzyk oburzonej duszy i cierpiałem podwójnie, gdyż brzydząc się występkiem nie mogłem jednakże uchronić się od niego.

Dziś, gdy stoję na progu śmierci i zastanawiam się nad zmarnowaną przeszłością i przyszłością, pomimo, że potępiam się bez miłosierdzia, nie mogę jednak obudzić w sobie żalu ani skruchy.

W chwili, gdy może na zawsze porzucę tę ziemię, serce bije mi przyspieszonem tętnem i cała istota drży na myśl, że choćby za cenę zbrodni, ta którą uwielbiałem mogła należyć do mnie. Przeklinam przeznaczenie, które dało mi poznać tę kobietę a nie dozwoliło zdobyć jej miłości, mogącej stać się radością i szczęściem całego mojego życia. Jak ja ją kocham i jak w tej chwili kocham ją jeszcze!... Niestety! ona nie domyślała się nawet bezmiernej czułości, kryjącej się w głębi mej duszy; nie mogąc życiem dowieść jej mego przywiązania, dowiodę jej to przez śmierć moją! Tak być musi, miała do wyboru mnie i męża a że miłość jaką czuła do niego odniosła zwycięztwo nad miłością jaką ja ją kocham, muszę więc dobrowolnie usunąć się z tej ziemi. Nie chciałem ci wierzyć choć przepowiadałaś mi to, Emilio, ze zwykłą sobie przenikliwością odgadłaś, że w walce wypowiedzianej prawości i rozumowi, muszę zostać zwyciężonym.

Pozostaje mi więc tylko spełnić dług konieczny i spłacę go po królewsku, niosąc w ofierze mojemu rywalowi życie, a tej, która go kocha szczęście. Podczas jutrzejszego spotkania wiem, że życie Ludwika w mojem będzie ręku i postanawiam go oszczędzać. Nie chcę wycisnąć ani jednej łzy kobiecie, która już tyle wycierpiała. Pragnę zakończyć jej męczarnie i zostać jej sprzymierzeńcem przeciwko grożącym jej zewsząd nieprzyjaciołom. Na nieszczęście znam dobrze Ludwika i wiem, że oddalenie będzie niezawodnem lekarstwem na jego głupią namiętność. Gdy wpakuję mu w ramię kulkę, która utoczywszy mu nieco krwi powali go na łoże niemocy na jakie trzy tygodnie, jestem pewien, że nie pomyśli już o pani Olifaunt. Nie waham się też w oddaniu mu tej przysługi.

Ranny i cierpiący będzie zasługiwał na większe współczucie i przebaczenie łatwiej z serca spłynie na usta tej, którą on tak nierozsądnie obraził. Skończyłem już i nic nie jestem dłużny nikomu... Poniżej straszliwego rachunku jaki prowadziłem ze sobą, podpisuję ze spokojnem sumieniem: pokwitowany.

Teraz nie chcę już myśléć o nikim tylko o tobie, Emilio, która byłaś dla mnie zawsze najserdeczniejszą, najtkliwszą i najbardziej przywiązaną przyjaciółką, wiem że będziesz mnie żałować choć tak wiele przezemnie cierpiałaś. Pamiętam dobrze, że dałaś mi największy dowód szacunku jaki kobieta może ofiarować mężczyźnie: przyszłaś do mnie z wyciągniętą dłonią, mówiąc: „Czy chcesz pojąć mnie za żonę?" Niestety! byłem niegodny ciebie i życiem mojem dowiodłem tego aż nadto.

Przebacz mi zmartwienie jakiego stałem się przyczyną i wierz mi, że twoje imię będzie ostatniem, jakie wymówię na tej ziemi... Gdy mnie już nie będzie, przyjdź mnie odwiedzić tam, gdzie spać będę w ciszy i spokoju wiecznym. Lubiłem bardzo kwiaty, przynoś mi więc niekiedy woniejącą wiązankę... groby opuszczone tak smutny przedstawiają widok!

Jeżeli jaka cząstka mojej istoty czuje pod zimnym głazem, usłyszę może szelest lekkich twoich kroków, rozpoznam przytłumiony szept twego głosu i wieczna noc stanie się dla mnie mniej ciemną, sen mniej lodowatym... Ale otóż i jutrzenka wschodzi, znacząc ostatni dzień mego życia... Żegnam cię droga przyjaciołko! Myślą przesyłam ci ostatni pocałunek."

Emilia drżącemi rękami złożyła list i ukryła go na piersiach. Oczy jej były suche, ani jedna łza nie potoczyła się po licu. Wstała i zadzwoniwszy na służbę, kazała podać sobie okrycie i kapelusz, poczem odjechała nie widząc się już z Heleną. W kwadrans później znalazła się przed drzwiami pałacu Klemensa de Thauziat. Drzwi były już szeroko otwarte, w przysionku pusto zupełnie. Młoda dziewczyna weszła po schodach na pierwsze piętro i uchyliwszy drzwi salonu, ujrzała margrabiego de Beaulien, wydającego rozkazy zaufanemu służącemu Klemensa. Margrabia poznawszy pannę Lereboulley, podniósł się z uszanowaniem.

— Czy chcesz pani zobaczyć go jeszcze? — spytał przyciszonym głosem.

— Tak — odpowiedziała.

Pan de Beaulieu zwrócił się ku drzwiom znajdującym się w głębi i uchylając aksamitnej portyery, wpuścił Emilię do sąsiedniej komnaty, sam zaś cofnął się dyskretnie. Ciężka materya opadła z szelestem i młoda dziewczyna znalazła się sama zupełnie.

Na łożu spoczywał de Thauziat w tem samem ubraniu w jakiem padł przy pojedynku. Pąsowa, jedwabna kapa, którą okryte było łóżko, uwydatniała jeszcze bardziej bladość jego twarzy. Wymowne czarne oczy zamknęły się na wieki, uśmiech przymarł na ustach jak ostatnie wyzwanie, ciśnięte światu przed śmiercią. Ręce swobodnie spoczywa-

ły wzdłuż ciała; zdawało się, że musiał paść bez oporu, bez walki, niemal szukając śmierci. Srebrny, sześcioramienny świecznik stał zapalony u wezgłowia, bladem światłem oblewając szlachetne, dumne rysy Klemensa. Na ciele nie było śladów krwi ani zwalania. Nawet i po śmierci nie przestał być eleganckim i wytwornym.

Emilia przysunęła się bliżej i utonęła wzrokiem w postaci ukochanego, jakby widząc go po raz ostatni, chciała wyryć sobie w pamięci każdy rys jego twarzy, potem schyliła się i dotknęła z lekka ustami czoła pod którem teraz nie kryła się już myśl żadna. Lecz w tejże chwili z piersi jej stłumiony wydobył się okrzyk, zdawało jej się bowiem, że powieki Klemensa poruszyły się nieznacznie i dreszcz jakiś wstrząsnął całem jego ciałem, jak gdyby pocałunek, którym go obdarzyła rozdmuchał w nim ostatnią iskierkę życia. Lecz sine obwódki na skroniach i pod oczami rzucając cień żałobny na twarz umarłego rozproszyły złudzenia Emilii. Biedna dziewczyna wybuchnęła gwałtownem łkaniem i osunąwszy się na kolana, zaczęła się modlić gorąco.

. . . .

Emilia miała słuszność mówiąc, że zgangrenowane serce Ludwika należało leczyć rozpalonem żelazem. Spoczywając na łożu boleści, trawiony okropną trwogą, Ludwik nie śmiał o nic pytać żony, której łagodność, słodycz i męztwo nie zmniejszyły się ani odrobinę. Nieszczęśliwy człowiek patrząc na cichy smutek babki i wyrozumiałość Heleny, cierpiał więcej moralnie niż fizycznie. Rana jakkolwiek niebezpieczna lecz troskliwie pielęgnowana, wprędce zaczęła się zabliźniać, ale krwawiąca rana jego serca nie łatwo mogła się zagoić. Nieoględnie roztrwonił wszystkie skarby, jakiemi tak hojnie obdarzyło go przeznaczenie: nadużył zaufania babki, zdradził miłość żony i zmarnował majątek zebrany staraniem ojca, który należało przekazać synowi. Wszystko poświęcił dla szaleństwa, dla chwilowego kaprysu, pomimo to jednak nikt nie czynił mu wyrzutów, babka cicho krzątała się po pokoju lub szeptała coś z Heleną, dziecię bawiło się na dywanie a wesoły śmiech jego rozweselał poważny nastrój starszych osób.

Tak więc winowajca nie został pozbawiony żadnego ze swoich praw ani przywilejów, kochano go i szanowano jak dawniej; ale może te względy odnosiły się tylko do chorego i potrzebującego spokoju człowieka? Wszak widok cierpienia budzi zawsze współczucie w litościwem sercu kobiety, cóż więc dziwnego, że babka i żona otaczały go staraniami. Nieraz długie bezsenne noce spędzał Ludwik na bolesnych rozmyślaniach; lękał się ruszyć aby nie zbudzić żony śpiącej w przyległym pokoju i z goryczą powtarzał sobie, że ta krótka przeszłość wydaje mu się dręczącą jakąś zmorą. Bo w istocie trzeba być szaleńcem, aby dla jednej nędznicy, której charakter i występki dobrze mu były znane, popełnić tyle wstrętnych i podłych uczynków. Porównywając postępowanie de Thauziat ze swojem własnem. Hérault musiał przyznać przed sobą, że Klemens był niewinnym. Często w nocy ukazywała mu się blada twarz dawnego przyjaciela, lecz nie z groźbą na ustach tylko z łagodnym i smętnym uśmiechem. Widzenie to miało tak wyraźne kształty, że Ludwik mniemał, iż naprawdę widzi Klemensa przed sobą; miał nawet wielką ochotę przemówić doń, ale nie mógł odważyć się na to, rzucał się więc niespokojnie na łóżku i gorączka wzmagała się znowu. Po każdem takiem widzeniu, Ludwik rano bardziej był zgorączkowany i mizerny. Raz jednakże przy świetle nocnej lampki ujrzał tak blizko nad sobą pochylającego się de Thauziat, że wyciągając z nadzwyczajnym wysiłkiem ramiona, chciał go przyciągnąć ku sobie, lecz ręce jego napotkały tylko pustkę. Klemens patrzył wciąż na niego strwożonym wzrokiem, jakby badał postępy wyzdrowienia, które zdawało mu się zbyt powolne. Wtedy Ludwik odezwał się stłumionym głosem:

— Klemensie, przebacz mi!

Cień położył zimną dłoń na pałającem czole swego mordercy i rzekł:

— Ja nie mam ci nic do przebaczenia... Nie ty mnie zabiłeś, to ona.

— A więc dlaczego napastujesz mnie, skoro tylko ciemność zawita?

— Jeśli cię widok mój drażni, nie pokażę ci się już więcej. Ale zawsze będę blizko was jak duch opiekuńczy i niewidzialny, gdyż wszystko co zostało po mnie, będzie zawsze wiernem jedynej miłości, jakiej doznałem w życiu... Kochaj ją ty, którego ona kocha i bądź szczęśliwy, gdyż możesz nim być jeszcze.

Widzenie znikło i nigdy już Ludwik nie ujrzał postaci przyjaciela; lecz od tej pamiętnej chwili stan jego zdrowia polepszał się bardzo szybko i po upływie sześciu tygodni chory zaczął już wstawać z łóżka. W dniu w którym Rameau de Ferrière powiedział swemu pacyentowi:

— Teraz możesz pan już wychodzić i żyć jak wszyscy ludzie.

Helena kazała zaprządz do powozu i wsiadłszy doń z mężem i babką, rozkazała jechać do fabryki w Saint-Denis. Tu wysiedli przed ślicznym domkiem, otoczonym ze wszystkich stron ładnym ogródkiem. Dom ten był zawsze zajmowany przez dyrektora zakładów.

Skoro wysiedli, Helena poprowadziła męża do gabinetu, gdzie zastali oczekującego na nich notaryusza, pana Talamon. Wtedy młoda kobieta odezwała się poważnie do męża:

— Mój kochany Ludwiku, podczas gdy ty znajdowałeś się w niemożności zajmowania się interesami, ja i babcia musiałyśmy przedsięwziąć jakieś kroki celem zadosyć uczynienia zobowiązaniom porobionym przez ciebie. Gdy sprzedamy Boissise i pałac przy przedmieściu Poissoniere, na które mamy już nabywców, i skoro ja zrzeknę się posagu, jaki zapewniłeś mi kontraktem ślubnym, wszystkie długi zostaną umorzone. Dostanie ci się więc oczyszczona zupełnie z długów fabryka, która przecież była źródłem majątku dla twego dziadka i ojca. Musisz tylko podpisać akta, które pan Talamon był łaskaw wcześniej już przysposobić i wszystko będzie skończone.

Ludwik zbladł i ujmując żonę za rękę, pociągnął ją do okna.

— Zatem ten dom? — spytał niespokojnie.

— Jest miejscem obecnego naszego zamieszkania.

— A wszystko to co ci przekazałem przy ślubie?

— Zwróciłam majątek jaki od ciebie dostałam... Uboga weszłam do twego domu i uboga wyjść zeń chciałam.

— Ależ ten majątek był własnością twego syna?

— Mój syn nie może mieć droższego skarbu nad honor swego ojca.

Ludwik podniósł oczy pełne łez na tę dumną, mężną i wspaniałomyślną kobietę i rzekł:

— Jak ja się tobie wywdzięczę, najdroższa?

Helena zwróciła nań wzrok spokojny i odpowiedziała:

— Bądź tylko dobrym, pracowitym i uczciwym człowiekiem, niczego więcej nie żądam od ciebie.

I pokazując mu przez okno warsztaty, w których uwijali się robotnicy i zkąd rozlegał się donośny huk młotów, dodała:

— W pracy jest zbawienie. Zburzyłeś gmach, postaraj się teraz odbudować go na nowo. Ja ze wszystkich sił dopomagać ci będę.

— Ale czy potrafiemy dojść do zamierzonego celu?

— Silną wolą człowiek wszystkiego dokazać może.

Kończąc te słowa zaprowadziła Ludwika do stołu i podała mu pióro. Teraz Hérault nie wahał się już wcale i podpisawszy akta zmazał odrazu wszystkie błędy przeszłości.

Szlachetne poświęcenie kobiety nowego zeń uczyniło człowieka, odrodziła go miłość i silna wola, która jest bez zaprzeczenia potężną dźwignią w życiu ludzkiem.

KONIEC.

LIRNIK.



Wspomniał lirnik dawne lata!
Chwyta swe narzędzie:
Serce silniej mu kołata,
Pewno piosnka będzie.

Może jaka go zbudziła
Dziś weselna mara;
Lecz się pyłem już okryła
Towarzyszka stara.

Nie posłuszna piosnce gwoli,
Opór mocno stawi;
Lirnik jednak się mozoli
I tak do niej prawi:

* * *

Ah! lirenko, ty ladaco!
Trudno cię ocenić;
Nie przydatnaś mi już naco,
W ogień tylko rzucić.

Dawniej jakoś raźniej było,
Gdy cię wezmę w ręce,
W łonie silniej serce biło,
Ku nowéj piosence.

Dziś napróżno szukam ducha
Co ożywiał ciebie;
Bo w twych piersiach cisza głucha,
Jakby po pogrzebie.

* * *

Ah! lirenko ty ladaco!
Próżno ciebie stroję;

Nieprzydatnaś mi już naco,
Rwą się struny twoje.

Rdza strawiła srebrne dźwięki,
Burze śpiew rozwiały,
Nie odnaleźć dziś piosenki,
Choć szukaj dzień cały.

Pająk czarny swoje sieci,
Zasnuł dookoła.
Dźwięczna nuta nie wyleci
Z zaklętego koła.

* * *

Ah! lirenko! nam na świecie
Nie szczęściła dola!
A już wkrótce śmierć nas zmiecie,
Z szerokiego pola.

Niedognane złote mary,
W polach się rozwiały,
I wesela słodkie czary,
Nam się nie dostały.

Przyszły lirnik z lirą nową,
Za stołem zasiędzie,
Będzie śpiewać pieśń godową,
Ale nas nie będzie!...

W. z Z.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Stojąc na rozdrożu między starym a nowym rokiem, radbym złożyć Wam życzenia pełne błogiego uczucia, jakiem darzy promyk jutrzenki, zapowiadającej dzień uroczej piękności. A życzeń tych szereg niemały, jak pragnień ludzkich, któż wymienić ich zdoła?

W zamian więc przyjmijcie życzliwie wiązkę wiadomości dość pocieszających, których podobnych daj Boże, aby coraz więcej przybywało.

Na targach przedświątecznych, zjazd włościan z okolic bliższych i dalszych Warszawy, niezwykle był liczny.

Pomiędzy temi dostawcami produktów spożywczych, znajdowało się szesnastu włościan i sześć włościanek, którzy dowieźli wyroby własnego pomysłu.

I tak:

Jan Ogar ze wsi Zebrzydów, przywiózł spory wybór zabawek dziecinnych (140 przedmiotów); Stanisław Karczmarski z Suchednia, sześć wielkich jasełek dziecinnych, bogato udekorowanych, po 5 rs. sztuka; Antoni Węcierski z Mszczonowa, samochód drewniany, mogący pomieścić wygodnie 4 chłopców; Grzegorz Częsty, ze wsi Niedzielic, dziesięciu rumaków na biegunach od 2 rs. za sztukę; Jakób Węcławek z Jazgarzewa, cztery żardinierki pod kwiaty doniczkowe, ubierane szyszkami leśnemi i łupinami z orzechów włoskich; Konstanty Siwoń z Lubecka, garniturek mebli z drzewa orzechowego; Franciszek Dwojak z Lubochenka, prześliczny świecznik oryginalny, składający się z czterech obręczy drewnianych, rzeźbionych, przeplatany włóknami roślinnemi i igłami sosnowemi, podstawki do świec składają się z małych sęków sosnowych, zgrabnie wyżłobionych; Łukasz Weryh z pod Piaseczna, przerozmaitego kalibru podstawki do choinek, imitujące doniczki do kwiatów, stołeczki, tualetki, taboreciki i szkatułki ozdobne; bracia Mateusz i Michał Sicińscy z Miedniewic, dwie choiny kręcące się dokoła same, jedynie wskutek podniesionej temperatury światła.

Z włościanek: Zuzanna Dorczykowa z Garwolina, przywiozła 6 wielkich obrusów własnej roboty, przeznaczonych na stoły wigilijne. Na każdym z nich wyszyte są zręcznie początki kolęd: W żłobie leży, Anioł pasterzom mówił, Bóg się rodzi, Lulajże Jezuniu lulaj, W Betleem, ubogiem mieście, Hej w dzień Narodzenia.

Gosposiom naszym Kuryer Codzienny podaje sposób poczęstowania gości... świeżą rzodkiewką i świeżuteńką sałatą, który jest następujący:

Jeżeli idzie o sałatę, bierze się jej nasiona i moczy przez dwanaście godzin w spirytusie, następnie zaś sadzi się w ziemię pomieszaną z niegaszonem wapnem, ziemia polewa się często ciepłą wodą, a po upływie drugich dwunastu godzin wyrasta sałata zdatna do użycia.

Uprzedzamy tylko, iż otrzymane tym sposobem listki prędko więdną, najlepiej tedy urządzić się tak, by koniec ich wzrostu przypadł na jaką godzinę przed rozpoczęciem uczty.

Z nasionami rzodkiewki ambaras jest trochę dłuższy...

Kładzie się je przedewszystkiem w wodę na 24 godzin, następnie zaś dopiero do skrzynki z ziemią.

Tu rzodkiewka musi rosnąć od trzech do czterech, lub nawet do pięciu dni...

Starania jednak opłacają się sowicie, gdyż tak otrzymana rzodkiewka ma smak bardzo delikatny...

Czytamy w Le Temps z dnia 14 Grudnia bieżącego roku.

„Młoda polka, w wieku 21 lat, p. Klara Schultzówna z Warszawy, wczoraj broniła swej rozprawy na stopień doktora medycyny wobec pp. Charcot, Landoury, Strauss i Reclus. Kandydatka wybrała sobie temat: ,,kobieta-lekarz w wieku XIX". Rzecz oczywista, że na wieść o podobnej treści zebrało się mnóstwo słuchaczy.

Prelegentka, najmłodsza z dotychczasowych kandydatek na stopień lekarza, świetnie wywiązała się ze swego zadania. Wykazała ona na podstawie starannie zebranych spostrzeżeń wszystkie zalety, które uprawniają kobietę do poświęcenia się zawodowi lekarskiemu. Za pomocą cyfr i przykładów, czerpanych z ksiąg i życia, wykazała, jakie usługi oddała i oddaje kobieta na polu lecznictwa.

Kandydatka jest piękną, mówiła żywo i przekonywająco, podbiła przeto i oczarowała wszystkich, a nawet i tę garść studentów francuzkich, którzy chcieli początkowo protestować przeciw jej odznaczeniu.

Gdy p. Schultzówna skończyła, powstał prof. Charcot i przemówił kilka słów w tym samym przedmiocie. Zaznaczył, że jest przeciwnikiem kobiety jako lekarza o tyle, o ile chce zadowolnić się rolą drugorzędną. Zresztą są pewne choroby, które już sama wstydliwość zakazuje leczyć kobiecie. Wreszcie zwrócił się wprost do kandydatki.

— Jesteś pani piękną! czy sądzisz, że twej piękności, twej sukni przystoją pewne choroby i sposób ich leczenia?

Znakomity profesor oddał przecież hołd wiadomościom i nauce warszawianki.

— Pani rozprawa jest wyborną.

Potem z nieco sarkastycznym odcieniem w głosie dodał:

— Jesteś pani piękną, młodą, wykształconą, śmiałą, jednem słowem, wszystko przemawia za tobą; nie dzielę ze wszystkiem pani zasad, których bronisz, lecz schylam czoło przed jej talentem.

Potem mówili jeszcze pp. Landoury i Reclus.

Pierwszy wskazywał kobietom jako godny cel choroby kobiece i dziecięce, drugi jako bezpośredni jej profesor przyklasnął jej zdolnościom i pilności.

Na zakończenie dano kandydatce świetny stopień, studenci ofiarowali jej bukiet, a wieczorem ucztę."

Sądzimy, iż powyższe słowa z przyjemnością przeczytają ci wszyscy, których zajmował los panny Schultzówny, córki znanej rodziny muzyków w Warszawie.

Dzień Wigilii w naszych zakładach dobroczynnych uroczyście był obchodzony, sprawiając radość dzieciom że pamiętano o nich, a starszym biedakom, że niezapomniano iż jeszcze dogryzają ostatki swego żywota. Te same wieści dochodzą do nas z Petersburga, Odessy i Lwowa. Z tego ostatniego miasta piszą:

Święty Mikołaj, doczekał się hołdu i od Koła lwowskich literatów i artystów. Salony klubu znalazły się szczelnie zapełnione. Wśród 200 prawie osób roiło się do 80 dziatwy płci obojej, którą najpierw ze złocistego tronu pobłogosławił ślicznym wierszem „Św. Mikołaj"; po śpiewie „Kochajcie" dyrektor teatru, Wł. Barącz, dał całą seryę swoich świetnych obrazów mglistych, a ks. d-r Siemieński przemówił uroczyście i między „najgrzeczniejszych" rozdzielił liczne książki, ofiarowane na ten cel przez lwowskich księgarzy.

Nastąpił traktament bakaliami, cukrami; wreszcie tańce pod kierunkiem... tragika Żelazowskiego. Gdy młodsza generacya koło godziny 10 z pola ustąpiła, zaimprowizowali starsi swojego „mikołajka"...

Wokalno-muzykalno-deklamacyjne popisy najwybitniejszych naszych sił artystycznych, zwłaszcza zaś produkcye niezrównanego w swoim rodzaju „tausendkünstlera", p. Barącza, wytworzyły sytuacyę, pełną przyjemności, swobody i szalonego humoru... Ledwie o godzinie 2 po północy zaczęto opuszczać apartamenty Koła literackiego, które stają się we Lwowie bezsprzecznie ogniskiem najlepszych zabaw.

W kwestyi równouprawnienia kobiet lord Salisbury w Edymburgu wypowiedział mowę, w której ze zdumieniem dowiedzieli się słuchacze, że premier angielskich ministrów, walczyć odtąd będzie za zupełnem równouprawnieniem kobiety na polu politycznem. Dotychczasowe bowiem starania pod tym względem spełzły na niczem. Izba gmin kilkakrotnie odrzucała odpowiednie wnioski. Dzisiaj przystąpienie do tej sprawy tak potężnej osobistości jak Salisbury, posuwa ją za jednym zamachem niezmiernie naprzód.

Najważniejszy ustęp z jego mowy brzmi, jak następuje:

Żywię niezłomne przekonanie, że niedalekim jest dzień, w którym kobiety wezmą udział w życiu politycznym i będą radzić o losach kraju. Nie znam bowiem żadnego powodu, dlaczego miałoby stać się inaczej. Oczywistą jest rzeczą, że nauką, wychowaniem, a nadewszystko charakterem dorównywają one tym, którzy dzisiaj cieszą się prawami obywatelskiemi. A nadto wpływ kobiet popłynie, jest to niesłychanie ważnem w dzisiejszym wieku zmateryalizowanym, korytem religii i obyczajności. I dlatego też uważam związek kobiecy za zadatek nowej politycznej przyszłości.

Gladstoniści na jego wzór założyli również współzawodniczące towarzystwo kobiece z podobnym celem, tak, że teraz podczas wyborów, mnóstwo pań przemawia z trybuny. W czasie dopełniającego się wyboru w Holborn, odznaczyła się lady Compton, żona gladstonisty, pozostałego przecież w mniejszości. Ogół lubi ją za to, że odmówiła ręki, jeszcze jako miss Baring, rozkochanemu księciu krwi królewskiej, Albany, który później ożenił się z księżniczką Waldeck, a przed kilku miesiącami umarł w Cannes.

Jej matka, lady Ashburton niezmiernie życzyła sobie tego małżeństwa, lecz córka nie chciała na nie przystać, twierdząc bardzo rozsądnie, że jej stanowisko w rodzinie królewskiej, byłoby bardzo podrzędnem.

W końcu trzeba dodać, że te związki kobiece przyczyniły się również i do ułatwienia kobietom wstępu do szkół ludowych i szpitali.

Dzisiaj nauczycielki i dozorczynie wyparły stanowczo mężczyzn z tych obu dziedzin pracy społecznej.

Opera russka w Londynie. Objeżdżająca Anglię opera russka Aleksandra Aleksandrowa, dała w tych dniach pierwszy swój koncert w Alberts-Hall w Londynie. W orkiestrze grało 48 osób na 24 fortepianach.

Loża masońska. Założona w roku 1843 polska loża masońska w Londynie istnieje dotychczas i liczy trzech członków, a mianowicie Nowakowskiego żyda, Ratha węgra i Paatza Hollendra.

W roku 1858 loża ta liczyła 80 członków, a między nimi kilku Polaków.

Kaprys mody. W Stanach Zjednoczonych ulubieńcami wszystkich pań są obecnie olbrzymie brytany. Charty, wyżły i inne gatunki zostały zdegradowane, a moda nakazuje, iżby każdej z dam amerykańskich towarzyszył ociężały poważny brytan.

„Dziesięcioro przykazań żony" podaje jedno z pism amerykańskich w następujących zdaniach:

1) Strzeż się pierwszej sprzeczki, gdy jednak nadejdzie, walcz odważnie do końca; niesłychanie ważnem jest, abyś ty w niej odniosła zwycięztwo.

2) Nie zapominaj, że poślubiona jesteś człowiekowi nie zaś Bogowi, niechaj cię zatem jego braki nie zatrważają.

3) Nie męcz go ciągle o pieniądze, lecz staraj się aby ci wyznaczona pensya tygodniowa starczyła.

4) Gdyby twój mąż nie posiadał serca, posiada z pewnością żołądek; postąpisz rozumnie skarbiąc sobie jego łaski za pomocą dobrze gotowanych potraw.

5) Kiedy niekiedy, nie za często, zostaw mu ostatnie słowo; sprawi to jemu radość, a tobie nie przyniesie żadnej szkody.

6) Czytaj oprócz zawiadomień o urodzeniach, zaręczynach, śmierci i inne artykuły gazet i bądź świadomą tego, co się dzieje na świecie.

7) Bądź zawsze, nawet w sprzeczce, grzeczną dla niego. Pamiętaj, że podnosiłaś ku niemu wzrok gdy był twoim narzeczonym, nie spoglądajże teraz na niego z góry.

8) W umiarkowanych odstępach czasu pozwól mu być mądrzejszym od ciebie; utrzyma to jego poczucie godności a tobie przyniesie korzyść, gdy raz przyznasz się, że nie jesteś nieomylną.

9) Bądź mężowi twemu przyjaciółką, jeżeli jest człowiekiem mądrym; jeżeli zaś nim nie jest, usiłuj zrobić go twoim przyjacielem. Podnieś go, ale nie zniżaj się do niego nigdy.

10) Szanuj krewnych męża, zwłaszcza jego matkę: ona go o wiele pierwej kochała niż ty!

Zakład. W Gdańsku ufundowany został przez pannę Koch, dom dla panien ubogich, które po ukończeniu 60 lat schronienie w nim znaleźć mogą. Fundacya obejmuje milion marek i dopuszcza do korzystania z niej wszystkich, bez różnicy wiary i pochodzenia. Jakżeby podobny zakład był u nas pożądany.

W handlu delikatesów:

— Czy nadeszły już dziś ostrygi?

— Tylko cośmy je odebrali.

— A czy holsztyńskie.

— Holsztyńskie, panie, holsztyńskie, takie wielkie jak dyabły.

— A zkąd pan wiesz, że dyabły są wielkie? Czyż ich kiedy widziałeś?

— Widziałem, panie, widziałem i to nie jednego. Czyż to ich mało w postaci ludzkiej świat posiada?

* * *

Komiczne zajście miało miejsce w tych dniach w teatrze Concordia, w Hamburgu. Grano po raz pierwszy sztukę p. t. Nautilus. W chwili gdy bohater, kapitan Nemo, leżał na ziemi konając, zapalił się stojący na stole bukiet makartowski, a płomień szerzył się tak szybko, iż mógł zająć kulisę. Śród publiczności zapanowała panika, ale straż przybiegła szybko z za kulis i ogień ugasiła z pomocą kapitana Nemo, który przerwał swój zgon.

Gdy niebezpieczeństwo zostało usunięte, pan kapitan położył się znów na ziemi i śród homerycznego śmiechu publiczności, z godnością dokończył swego konania.

* * *

Kiedy zmarły cesarz Fryderyk, jeszcze jako następca tronu odbywał podróż inspekcyjną po Szlązku, zatrzymał się kilka minut na dworcu jednej z mniejszych miejscowości. Na peronie, oprócz władz miejscowych, oczekiwało księcia stowarzyszenie niemieckie śpiewaków, którzy niebawem rozpoczęli śpiew na cześć następcy tronu.

Książę, usłyszawszy pierwsze tony, zaniósł się od śmiechu; tenor bowiem zaintonował hym słowami: Powieście go! na co bas wtórując, odpowiedział z pełnej piersi: Powieście go! Powieście go! zanucił baryton, aż wreszcie zabrzmiał chór cały: Powieście go! poczem pociąg ruszył w drogę, a dopiero zaśpiewano dalej: Powieście go, ten wieniec wawrzynu, na cześć syna królów, i t. d.

* * *

Objaw wdzięczności. Jednemu z lekarzy tutejszych, któremu śmierć zabrała pacyenta, przysłano zegarek złoty z następującym napisem: Wdzięczni spadkobiercy.

* * *

Mała pomyłka. Podczas ostatniego przedstawienia Minaesingerów w Bayreuth, dyrektor orkiestry, Richter, widząc człowieka stojącego w miejscu, gdzie daje się na trąbie sygnał, zapowiadający koniec aktu. Zawołał na niego:

— Hej tam ty! przygotuj się, czas już zatrąbić.

— Przepraszam pana — odrzekł zagadnięty — ale nie jestem trębaczem.

— A czemże jesteś do miliona!...

— Wielkim księciem Wejmarskim — odrzekł zagadnięty — ale miło mi poznać pana.

* * *

Najnowsza anegdotka o Sarze Bernhardt. Znakomita a ekscentryczna tragiczka jest nieustannym celem dla dowcipów paryżan. Obecnie opowiadają, iż sławna Sara, która oprócz innych talentów posiada także w wysokim stopniu sztukę fechtowania, stanęła do walki w tych dniach z angielskim oficerem marynarki. Po pierwszym ciosie artystka wytrąciła oficerowi szpadę z ręki, a ten rozjątrzony schyla się, podnosi ją i wsuwa napowrót do pochwy.

Naraz rozlega się przeraźliwy krzyk: Syn Albionu pomylił się i wsunął do pochwy... chudą Sarę.

* * *

Niezwykli złodzieje. W tych dniach odkryto całą bandę złodziei, którzy skradli bogatemu kupcowi z Maria-Theresiopol na Węgrzech, 250 tysięcy guldenów w gotówce i w papierach. Pomiedzy uwięzionymi złodziejami znajduje się kilku policyantów (sic), woźnych gminnych, dwóch sędziów gminnych, komisarz policyi i sędzia przysięgłych. Ani słowa, pięknych stróżów bezpieczeństwa publicznego mają Węgrzy.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie spacerowe z vêtement. Suknia z gładkiego i haftownego wełnianego materyału, przybrana jest repsem jedwabnym. Vêtement dopełnione długą kami-

żelką, przyciśniętą paskiem fałdowanym z repsu; szmizetka i ranwersy repsowe. Berecik filcowy podszyty aksamitem, przybrany wstążką i skrzydełkami.

Płaszczyk do powozu. Długi płaszczyk z kamizelkowemi przodami i wykładanym w ranwersy kołnierzem, uszyty z jasnego sukna na watowanej jedwabnej podszewce, ozdobiony aplikacyą z aksamitu i objęty futrem białem. Kapotka z materyi ottoman z koronką chantilly i rajskiemi piórkami.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpiieszniejszego wykonania objawionego żądania.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w przyszłym roku 1889, wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę. Część specyalna Pisma zawsze z jedną starannością prowadzona, ozdabianą będzie tak jak dotąd, przepyszną illustracyą paryzkich artystów, ogólnie za najlepszą ze wszystkich pism zagranicznych modom poświęconym uznaną. W części literackiej, oprócz artykułów poważnej i zajmującej zawsze treści, pomieszczone zostaną w roku przyszłym, nowelle i powieści pierwszorzędnych pisarzy, a między innymi:

J. Zacharyasiewicza, Klemensa Junoszy (K. Szaniawskiego), A. Pólkozica (Niewiarowskiego), Zygmunta Grabowskiego, Zbigniewy Zmorskiej i wielu innych.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. Na prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5; rocznie rs. 10.



PRZYJACIEL DZIECI.

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

wychodzić będzie w roku przyszłym 1889, pod temi samemi co dotąd warunkami. Oprócz dodatku do każdego numeru, dołączanego, wprowadzone zostaną nowe dodatki od czasu do czasu dodawane, z nutami, z wzorami ubiorów dla lalek i z różnemi zabawkami zawsze miłemi a pożytecznemi. Illustracya także więcej zostanie rozwiniętą, głównie w dodatku dla małych dzieci.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie Kwartalnie rs. 1. Na prowincyi z przesyłką pocztową: Kwartalnie rs. 1 kop. 25. Półrocznie rs. 2 kop. 50. Rocznie rs. 5.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Chmielna Nr. 26 nowy.

Дозволено Цензурою, 12 Варшава, Декабря 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca F. Skiwski. Druk F. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

TYGODNIK M

I POWIEŚCI. 93

PISMO ILLUSTROWANE DLA

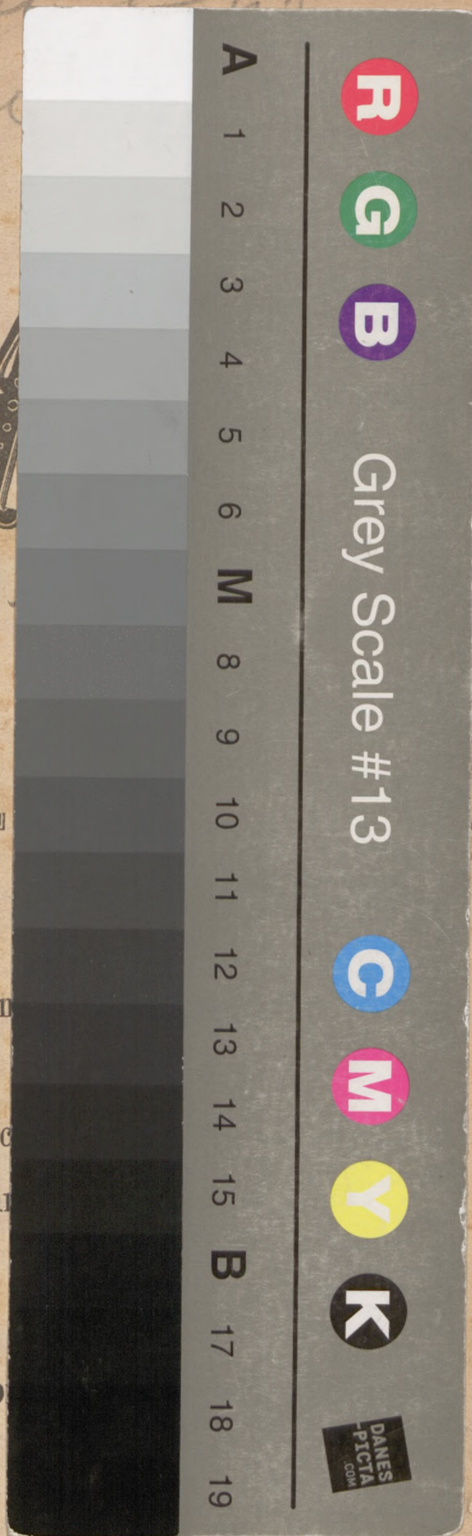
OBEJMUJĄCE:

Prelekcye publiczne, artykuły literackie, rozbiory krytyczne, powieści tak orygin

życiorysy znakomitych ludzi. Korespondencye.

Pr rajowej,pogadanki tygodniowe, poezye, rozmaitośc

mości dotyczące gospodarstwa domowego i kuchenn



V OSOBNYCH ZAŚ DODATKACH:

Drzew kobiecych, ryciny kolorowane z modami damskiemi, o



POD GŁÓWNĄ REDAKCYĄ

Kantego Gregorowicza.



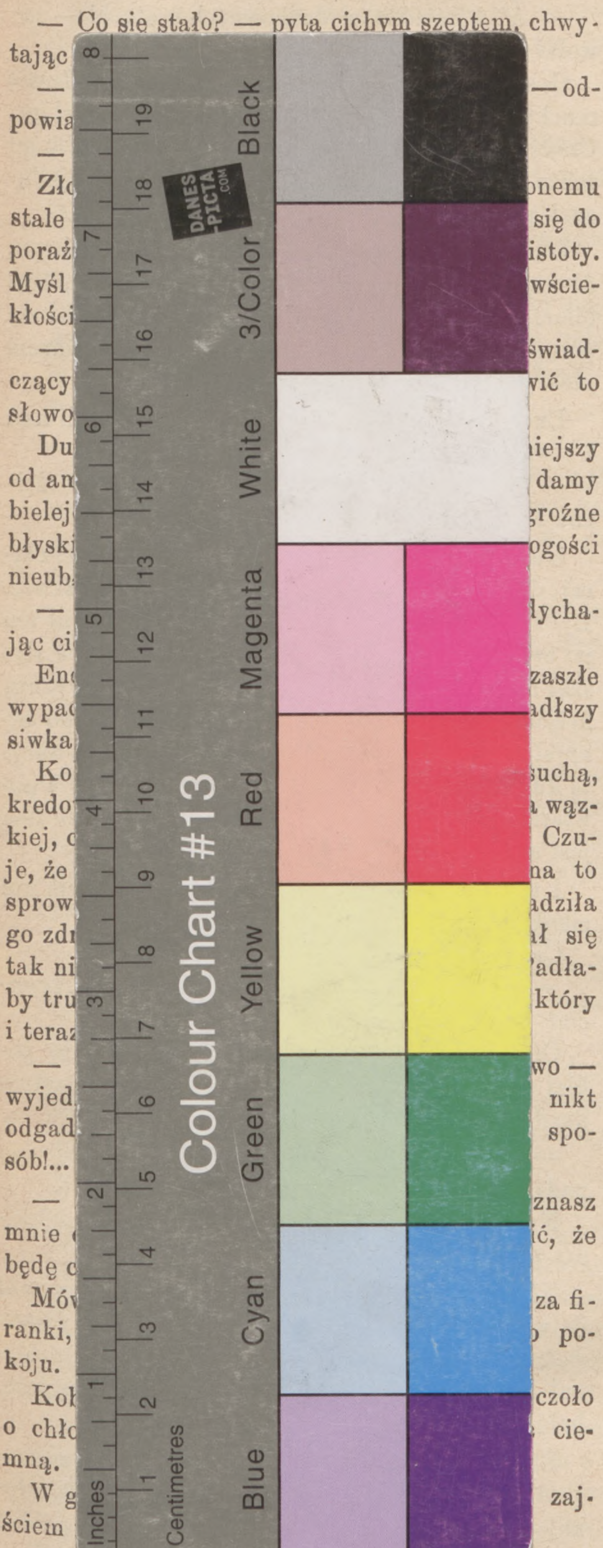
1888.

WARSZAWA.

LA SKIWSKIEGO, ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 26).

Redakcya przy ulicy Chmielnej Nr. 26.

— Co się stało? — pyta cichym szeptem, chwy-
tając



— … — od-
powia…

— …

Zło… …onemu
stale … się do
poraż… …istoty.
Myśl … …wście-
kłości…

— … …świad-
czący … …vić to
słowo…

Du… …iejszy
od am… damy
bielej… …groźne
błyski… …ogości
nieub…

— … …dycha-
jąc ci…

En… …zaszłe
wypad… …adłszy
siwka…

Ko… …uchą,
kredo… …a wąz-
kiej, c… Czu-
je, że … …na to
sprow… …adziła
go zd… …ał się
tak ni… …'adła-
by tru… który
i teraz…

— … …wo —
wyjed… nikt
odgad… spo-
sób!…

— … …znasz
mnie … …ć, że
będę c…

Mów… …za fi-
ranki, … po-
koju.

Kol… czoło
o chło… cie-
mną.

W g… zaj-
ściem…

Ta… mała, dzieciak, chochlik psotny, skaczący po urwiskach jak pół dzika tatrzańska kozica pogardziła Endymionem! jej Endymionem! Podobny przewrot rzeczy niespodziewanym był nigdy w tak pięknie obmyślanym programie. Przypuszczała, że on może nie raczy zwrócić oczu na dziewczynę, lecz by zaszło coś wprost przeciwnego, to nie postało jej w głowie ani na chwilę.

W zapadłej piersi pod hiszpańską mantylą, zrywa się huragan gniewu. Ściany w których zmuszoną jest przebywać do jutra, gniotą ją, tłocząc duszę, nieznośnym ciężarem. Gdyby miała na swe rozkazy gromy, cisnęłaby je z rozkoszą na dach tego domu, który staje jej się nienawistnym! Ale nic to nie znaczy, że nie posiada nad burzami mocy, ta która szaleje w jej sercu ma dość siły, by rzucać pociski zabójcze na potępione głowy.

— Wyjedziemy jutro — mówi sobie z mocą — lecz dziś jeszcze tu jestem i na Boga, nie zmarnuję tych kilku godzin, które mam przed sobą!

Instynktowe poczucie potrzeby zachowania pozorów, ostrzega ją, że należy wrócić do towarzystwa i odchodzi od okna opanowując wolą, miotające nią wzruszenie.

Po chwili siedzi już na swem miejscu, wciśnięta w róg sofy. Dokoła niej toczy się gwarna, wesoła gawędka, Marszałkowa pyta ją o coś, czy coś opowiada, lecz ona niebardzo rozumie, czego chcą od niej ci ludzie? Głowę jej całą zajmuje myśl jedna:

— Odrzucono Endymiona! mego Endymiona!

Nieprawdopodobna ta, niemniej spełniona prawda, szumi jej pod czaszką sprawiając w mózgu dziwne zawichrzenie. Ręce drżą jej nerwowo pod koronkową mantylą, oczy wpatrzone martwo w przestrzeń przed siebie, świecą jak węgle wśród bladej twarzy.

Wspaniała sąsiadka spostrzega wreszcie zmianę rysów kobiety.

— Co kochanej hrabinie? czy nie słaba? Zaszło coś złego... prawda? Boże, czy nie jaki wypadek!...

Szereg pytań wymówionych serdecznie cichym głosem, otrzeźwia nieco rozszalałą matkę.

— O... nie... nic ważnego! — odpowiada przywołując przemocą uśmiech na usta. — Nieprzyjemny, lecz drobny wypadek. Syn mój z kuzynką pojechali na spacer... koń się rozbiegał...

— Boże! Anusia! panna Anna!...

— Ależ... nie... nie, droga pani. Zupełnie zdrowa! Koń z powozikiem wleciał wprawdzie do jakiegoś dołu, lecz w chwili upadku, uratował dziewczynę tutejszy stangret... Uważasz pani... zupełnie jak w romansie. W krytycznym momencie zjawia się bohater... wyrywający heroinę z objęć śmierci!...

— Poczciwy chłopak! — woła dobrodusznie słuchająca.

Twarz szczupłej damy staje się śpiczastą, przybierając kształt regularnego trójkąta.

— Romantyczna przygoda! — przemawia głosem syczącym — tem więcej, że bohater... w rzeczywistości bardzo zajmujący. Niepospolity typ sługi. Ta kochana Anna, w przeczuciu zapewne dzisiejszego ocalenia, upatrywała oddawna dziwne, utajone przymioty w jego osobie! Wyobraź sobie pani, niedawno kazała nam wszystkim podziwiać dystynkcyę swego stajennego. Szalona dziewczyna... znasz ją droga Marszałkowo. Naturalnie, chłopak jak zwykle stajenni... nieróżniący się niczem od wszystkich swych kolegów. Lecz cóż robić. Bywają kobiety, mające gust wyłączny, do strzelców i masztalerzy.

Stara dama poczyna się śmiać dziwnie, tak dziwnie, że pogodne oblicze Marszałkowej poważnieje powoli, a jasne siwe oczy, otwierają się szeroko mocnem zdumieniem.

— Nie rozumiem — wymawia zwolna, z zawieszeniem głosu, wyrażającem niedowierzanie.— Nie twierdzisz przecie, kochana hrabino...?

Druga połowa pytania ginie w szmerze ogólnej rozmowy, wypowiedziana tak cicho, że nie umiemy jej powtórzyć.

Dalszy ciąg rozmowy, prowadzony jest tak tajemniczo, że nic z niej nie dochodzi do wiadomości zgromadzonych, możemy tylko zapewnić, że przez kilkanaście następnych minut, mocno różowe ucho okazałej damy, przylega szczelnie do wązkich ust czarnego cienia, przyczem w okrągłych źrenicach słuchającej, zdumienie przechodzi stopniowo w wyraz strasznej grozy.

Po chwili, obie tak silny kontrast stanowiące postacie, odsuwają się od siebie. Trzechpiętrowa powaga powiatowa odsapuje, fizyognomia jej doszła powoli świetności barwy rozkwitłej w pełni piwonii, usta zaciskają się surową powagą.

— Józiu, Felciu, Róziu, Helciu! — woła na rozpierzchłą po salonach czwórkę. — Chodźcie tu dziateczki! siądźcie sobie i bądźcie przy mnie.

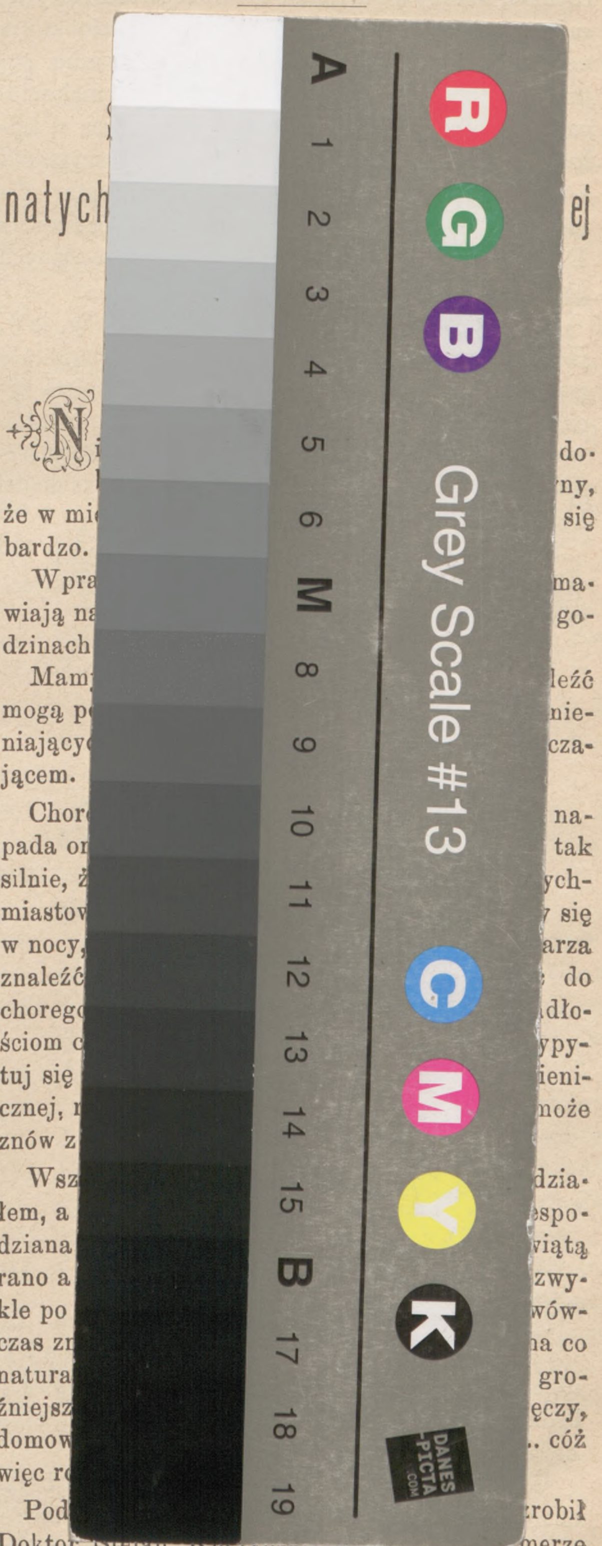
Zaspokoiwszy tym rozkazem macierzystą swą troskliwość, Marszałkowa dobywa piękną, srebrną cygarnicę, energicznym ruchem pociera zapałkę i zapalając świeżego papierosa, otacza się chmurką sinego dymu.

— Nie trzeba nigdy, pozostawiać dziewczętom zbyt wiele swobody — zwraca się do sąsiadki.

— Pani, to dla młodych moralne zabójstwo! — przywtarza z mocą pseudo hrabina. — Ileż razy mówiłam hrabiemu, że zachowanie Anny zbyt jest swobodnem. Niestety, nie chciał mnie słuchać. Owładnęła go mania postępowości na każdym punkcie. Odpowiadał mi stale, że nie znosi tego tysiąca cienkich drobnych nitek, oplątających dziewczęce życie od chwili urodzenia. Chciał mieć córki wychowane po angielsku i otóż skutki.

— Droga hrabino, tu nie Ameryka! tu nie Ameryka! — wtóruje poważnie Marszałkowa. — Ja przynajmniej, strzegę mych dziewczątek jak oka w głowie i jest im z tem dobrze.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)



natych… …ej

N… …do-
…ny,
że w mi… się
bardzo.

Wpra… ma-
wiają n… go-
dzinach…

Mam… …leźć
mogą p… nie-
niający… …cza-
jącem.

Chor… na-
pada o… tak
silnie, … …ych-
miasto… się
w nocy, … …arza
znaleźć… do
chorego… …dło-
ściom … …ypy-
tuj się … …ieni-
cznej, … może
znów z…

Wsz… …dzia-
łem, a … …spo-
dziana … …iątą
rano a… zwy-
kle po … …wów-
czas z… …na co
natura… gro-
źniejsz… …ęczy,
domow… .. cóż
więc r…

Pod… zrobił
Doktor … merze
Kuryera Warszawskiego, odpowiadając na rzuconą myśl urządzenia przy Towarzystwie dobroczyn-